NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH



KRAKÓW
MAJ 1936
ROK III.

NR. 5

GR. 25

ROK III. MAJ 1936. NR. 5

Nasz Wyraz

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

Uwagi o muzyce współczesnej.

»Muzyka współczesna« jest dziś pojęciem bardziej konkretnem, niż jeszcze przed laty dziesięciu. Retrospekcja historyczna do roku 1905 (Salome Straussa), 1908 (Drei Klavierstücke Schönberga), 1909 (Elektra Straussa i 1910-12 (pierwsze utwory ork. i balet Pietruszka Strawińskiego), — umożliwia koordynację i poniekąd systematyczne ugrupowanie elementów technicznych, znamion stylistycznych i dążeń estetycznych. Muzykologja, publicystyka, krytyka naukowa i dziennikarska,— odczyty, dyskusje i koncerty,— propaganda międzynarodowa, krajowa i lokalna,— ostra i zapalna polemika zwolenników i przeciwników nowej muzyki,—odwiecznie powtarzająca się i historykom dobrze znana walka stronnictw konserwatywnych i postępowych— wytwarzają urodzajny teren czynów i myśli, na którym rozradza się dojrzewa i formuje muzyczny styl epoki.

Pesymizm obu obozów jest przesadny. Konstelacja światowego kryzysu ekonomicznego rozognia wprawdzie wzajemną nienawiść i utrudnia znacznie normalizację życia muzycznego, którego tętno jest b. osłabione, lecz produkcja rozrasta się w stosach kompozycyj, wystarczających najzupełniej dla orjentacji w ideologji i technice formotwórczej muzyki współczesnej.

Powtarzany przez sceptyków automatyczny frazes, że muzyka współczesna jest wyłącznie motoryczno-dynamiczną maską impotencji twórczej, przysłaniającą zanik inwencji wyrafinowaną rytmiką, nieoczekiwanemi akcentami i kolbrami instrumentacji— posiada zwietrzały posmak historyczny. Nihil novi. Ostatecznie należy pogodzić się z faktem psychologicznie poniekąd uzasadnionym, że ludzie, których od wczesnej młodości przenikał i ożywiał duch romantyzmu, neoromantyzmu czy impresjonizmu, nie sprzeniewierzą mu się. Ci jednak są dla nowej muzyki straceni i niczego od nich spodziewać się ani żądać nie można.

Złem rzeczywistem jest jednakowoż ten fakt, że oni wciąż jeszcze najważniejsze tereny spraw muzycznych opanowują i niemi władają. W każdej n. p. uczelni muzycznej konserwatyzm »osłania« młodzież przed współczesnością, której twórczość przed nią się ośmiesza i lekceważy. Na szczęście zwykle z przeciwnym zamiarowi skutkiem. Bardzo niekonsekwentni są ci starsi panowie, którzy w młodości walczyli w pierwszych szeregach o muzykę Skrabina, Straussa, Debussyego, Mahlera, Brucknera, Regera it.d., dziś pragnęliby zatrzymać historję w jej ewolucyjnym pędzie i stają się zupełnie podobni do tych, których dawniej bez kompromisów atakowali i zwalczali. Mówią to samo, co tamci. Młodą awangardę nazywają spekulantami bez talentu, ponieważ nowa technika trudną jest dla nich do skontrolowania. Żaden spekulant epoki minionej nie utrzymał się na powierzchni życia muzycznego: tak też i współcześni »spekulanci« lub tylko »rzemieślnicy« nie wejdą do Panteonu muzyków. Obawa zbyteczna. Tylko, że spekulantem według nich jest każdy, kto nie porusza się na torach niezliczone razy przejeżdżonych i wytartych. Wielcy przedstawiciele minionej epoki zrobili wszystko, a epigoni też wyżyli się wszechstronnie.

Drugim hamulcem prawidłowego funkcjonowania współczesnej kultury muzycznej jest handlowa lękliwość agentur koncertowych, dyrektorów oper, wydawnictw i niemniej »Radja«. Zjawisko to należy uznać za malum necessarium, spowodowane paraliżem ekonomicznym świata. Wydawnictwa muzyczne nie mogą w tych warunkach liczyć na zbyt nowych dzieł: 90 proc. utworów oczekuje lepszych czasów w manuskryptach.

Trzecim wrogiem, najgorszym są rozpanoszone kliki, kartele i monopole, stawiające barykady i fortece niezmiernie trudne do zdobycia. Jedyną nadzieją młodych twórców jest P.T.M.W. i jej sekcje poszczególnych krajów. Działalność tego towarzystwa jest realna i konkretna.

Dr. Seweryn Barbag.

TADEUSZ ZELENAY

Lato w małej uliczce.

Po północy objąwszy się drzew ramionami
domy czarne i upite mgłą
trącają się kieliszkami latarni.

A południa się prężą piersiami młodych róż
słońce jak złoty pająk pełza po chodnikach
czasem kraje powietrze deszczu srebrzysty nóż
godziny w sekund szeptach opowiadają
o bzach i o słowikach.

Potem kiedy w głośnikach co wśpiewane w miasto
melodję słów zagasi pachnący dym matioli
zbliżywszy twarz do drzewa zielone liście policz
zanim na nich ostatnie złotawe blaski zgasną.

Wieczór ma skrzydła z różowych piór
liści jest tyle
ile pozostaje dni
do końca lata
co odleci
na żółtych skrzydłach jesieni.

KOLUMNA WEKTORÓW

JERZY KAMIL WEINTRAUB

Moja wiosna 1936.

Czerwony komin w szarem niebie tkwi.
Niżej mętnieją okna wędliniarni.
Skłębieniem ulic karykaturalnych
wloką się smutne i pokraczne dni:

rana drgające świergotami ptaków:
— zegar z kukułką astmatycznie gra,

południa lśniące: — rdzawe słońce dnia
w śmiesznych podrygach wskakuje na ratusz,

zmierzchy szumne: — spróchniałą łodzią fortepianu
podpływa pod werandy Jan Sebastjan Bach.

I nagle czas przystaje.
A po kocich łbach
koła wozu melodją trzeszczą obłąkaną.

Wieczory mrok osnuwa w kontury brunatne:
— gdzieniegdzie serca latarń rozpaczliwie drżą.
I wtedy spływa cisza wieczorową mgłą,
a pejzaż w niewyraźny przechodzi negatyw:

ciemny komin w ciemnem niebie tkwi
niżej ciemne okna wędliniarni
zasypiają karykaturalnie
nasze smętne i pokraczne dni.

ALEKSANDER MESSING

L a s.

las: ptasi fortepian
wydzwania zielone preludja

na mchów klawiszach
twe ręce
akordy ciszy
południa

wiatr sosnami klaskał
zygzakami między drzewa sypał
jak muślin się darł o gałęzie
a teraz
jak dziecko
zasypia

LEO LIPSCHÜTZ

O pękniętej bańce.

Na liściach drgają szklanne krople jeszcze...
Kołyszą się wolno, zataczają drzewa
opite deszczem.

Czy jest jeszcze niebo, które wzrok mój rozpiął?
Czy spod powiek wytryśnie bóg szaleńczo jasny?
W lustrze są oczy. W oczach szary popiół.
O, już zgasłem.

KOLUMNA STARTÓW

I. KAŁAMACKI

Schody.

Szły
zwykłe drewniane schody,
nieskończonością skrzypiących stopni,
w górę ...
Brama była ciemna i ponura.
A na półpiętrze
we framudze okiennej
głos dziewczęcy
szeptał jakieś łzawe zaklęcia
i wikłał się
w festonach rozpanoszonych pajęczyn ..
strudzony ... wystraszony ...
i
czyjeś pięści
stwardniałe w pracy codziennej,
stalowe łomy ...
uderzały w szalonym gniewie.
I coś upadło z przytłumionym stukiem
konały słowa rozpłakane :
»Nie wiem ...«
I ktoś chrapliwie krzyknął :
»Ty suko !...«
i zbiegł
drewnianemi schodami
wydeptanemi
tysiącem stąpań ...
— — na półpiętrze ból czaił się
w kątach
i spływała krew
zmięszana ze łzami ...

J. WITWICKA

Pieśń o mieście.

W zbłękitniałym wytrysku gotyckiego mroku,
w spłoszonych błyskach świecy i lampek oliwnych
wiotko
rozpierzchle wykwitły
kolumny smukłe jak kwiaty.
— Na twarz skupioną Stwoszowej Madonny
czerń krzyża,
rzeźbę stalli —
jak ciszę, smugą witrażowych świateł
zmierzch kładzie dłoń żegnania.
Zwiewnym błękitem dymów
wystrzela, wyprzestrzenia,
mury rozsadza pieśnią,
gotykiem dal przebija,
w niebo się słońcem wali
i śpiewa ... śpiewa życie
jak hymn !
Jak pierwsze zawołanie krwi !
Jak — wiosnę !!!
— Czy znasz rytm — równy rytm
tętnień, przemijań dni
i noce długie, radosne
zachwytów, najpierwszych uniesień ?
Widzisz —
jak miasto lśni
najczystszem lśnieniem asfaltów ?
Słyszysz —
jak miasto brzmi
szalonem tętnem tempa
i światłem wali w oczy
i błotem tryska w twarze,
czarnem mrowiskiem ludzi
kłębi się, huczy, wre ?
— Hej kwiat ! — Czerwony kwiat
wykwitnął w szarem mieście !
Mętnym bulgotem wód
wezbrały kraty rynsztoków.
Zmierzch opadł miasto wcześniej
i cichym, lisim krokiem
wtaił się w ciężkie podcienia
szaro-liljowych kamienic.
Stare, łukowe sklepienia
wionęły drżącym szeptem,
zestokrotnionym echem
wąskich zaułków ulic.
Swiat mrokiem się otulił
i grajkom opadł w skrzypce,
dlatego grali ciszej
i tęskniej swoją pieśń.
Chcę śpiewać wam dziś ! Spiewac
i pieśń jak hasło wznieść. ...
Rozegrać szare mury
roztętnić senne miasto
niech zbrzaśnie ! niech ożyje !
niech runie w wieków pleśń
i w życie się zcieleśni.
O życie — nowe życie
w roześmianiu jasnych dni,
złoto — ziskrzone słońca,
płynące tafle szyb
i biel wysokich domów
i przestrzeń i niebieskość,
i drzew nieśmiała zieleń,
i wschodów łun królewskość
i szczęście jasnych dni.
— — — — — — —
Ty
miasto moich marzeń
dalekie ...



A. Picasso Rysunek

Człowiek a pisarz.

W związku z wszczętą w poprzednich numerach »Naszego Wyrazu« dyskusją, dotyczącą kryzysu kultury, chciałbym poruszyć zagadnienie o charakterze, powiedziałbym, bardziej dogłębnym i odmiennym, aniżeli wywody pp. Sochora, Korzucha i Kudlińskiego. Chodzi mi mianowicie o kwestję stosunku pisarza, jako człowieka — do współczesnej rzeczywistości, a więc i do kryzysu kulturalnego, jako do zjawiska najbardziej go dotyczącego.

Jednem z zasadniczych zagadnień, obejmujących życie pisarza, jest sprawa stosunku wzajemnego — człowieka i artysty. Przybyszewski twierdził, że artysta i człowiek to dwie zupełnie odmienne struktury, a czołowy poeta i teoretyk symbolizmu francuskiego Stefan Mallarme głosił zupełne zamknięcie się w swojej rzeczywistości, a więc oderwanie się od rzeczywistości materjalnej. Twierdził on, że »tylko idee są niezmienne i trwają wiecznie«. »Formy materjalne — natomiast — są chwilową emanacją ducha i mają wartość znaków symbolicznych«. Owe poglądy powstałe pod koniec zeszłego stulecia a będące credem wielu artystów, tworzących na początku w. XX, rażą wielu z nas swoim anachronizmem, a jednak — jak zobaczymy później — przetrwały do dziś dnia i pokrywają się zupełnie z ideologją wielu pisarzy współczesnych. Nastąpiły tylko pewne, bardzo ważne dla nas, odchylenia, spowodowane kryzysem strukturalno-konjunkturalnym, a więc i kryzysem kulturalnym, jako zjawiskiem wtórnem. O nich właśnie będzie, między innemi, mowa w tym artykule.

Spójrzmy parę lat wstecz. Kiedy Stefan Żeromski wydał swą ostatnią powieść, jedno z największych arcydzieł literatury europejskiej XX w »Przedwiośnie« — wywołał ową powieścią istną burzę w gronie rodzimej kołtunerji; jednocześnie powieść ta została przetłumaczona na wiele języków europejskich, a w Sowietach osiągnęła aż sześć wydań(!). Wtedy czołowi publicyści i pisarze sowieccy jak Domski czy Arcybaszew, uznali Żeromskiego w swoich artykułach za jednego z czołowych twórców rewolucyjnych w europejskiej awangardzie pisarzy proletarjackich. Oczywiście na podstawie »Przedwiośnia«. To był Żeromski-pisarz.

A Żeromski — człowiek? Żeromski — człowiek odpowiedział artykułem, w którym twierdził, że wcale nie jest rewolucjonistą, że jeżeli bohater jego powieści jest komunistą, to niekoniecznie musi być nim autor, że — wreszcie — chciał tylko powiedzieć, że jeżeli będzie w Polsce tak, jak jest, to nastąpi komunizm.

A w konkluzji »Przedwiośnia« Cezary Baryka idzie w demonstracji rewolucyjnej na Belweder. To był Żeromski—pisarz. Żeromski—człowiek przeczył napisanym przez siebie słowom.

Tak więc doszedłem do głównego zagadnienia: do tragicznej kolizji między pisarzem a człowiekiem, kiedy pojęcia pisarz i człowiek stały się niemal takim samym dualizmem, jak np. »dobro i zło« lub »ciało i dusza«. Owa drażliwa sprawa dopiero te-

raz czeka na swoje rozstrzygnięcie, a wielu współczesnych pisarzy wypowiedziało się w tej materji dobitnie, słusznie mniemając, że pojęcia pisarza i człowieka muszą stanowić harmonijną całość. Wśród tych wypowiedzi i ustosunkowań naczelne stanowisko zajmują zagadnienia: p i s a r z a k u l t u r a, k u l t u r a a k r y z y s strukturalno-konjunkturalny. Jasnem jest, że kryzys kultury jest zjawiskiem wtórnem, spowodowanem przez kryzys ekonomiczny, przyczyna kryzysu ekonomicznego tkwi w »strukturze« ustroju kapitalistycznego i t. d.

Jaka więc ma być postawa pisarza wobec otaczających go i napierających nań zewsząd jaskrawych przejawów niesprawiedliwości społecznej? Jak ma się ustosunkować do kryzysu kulturalnego? Czy postawa pisarza winna być bierna, a spowodowana abstrakcyjnem zawieszeniem w n tym wymiarze? Czy też powinien zająć postawę aktywną i wziąć czynny udział w walce z kryzysem i faszyzmem?

Pisałem na początku artykułu o pewnych odchyleniach w ideologji wielu pisarzy współczesnych, stojących na stanowisku dualistycznem (pisarz— człowiek). Odchylenia te zostały spowodowane — jak pisałem — kryzysem strukturalno konjunkturalnym. Oto pisarz obojętnego kierunku literackiego— (przypuśćmy niespołeczny) widzi, że w obecnym ustroju warunki pracy są coraz cięższe, szerzy się bezrobocie, obniża się nieprawdopodobnie stopa życiowa, ostrze kryzysu tak samo i jemu grozi, jego gnębi. Zastanawia się nad przyczyną takiego stanu rzeczy i dochodzi do znanej nam konkluzji (ustrój kapitalistyczny). Pisarz taki zajmuje stanowisko po lewej stronie barykady, chce, aby na miejsce regime'u kapitalistycznego przyszedł ustrój socjalistyczny, niekoniecznie dlatego, że sam jest wyznawcą socjalizmu. Bynajmniej. Ale wierzy, że w ustroju, w którym zostaną zniwelowane antagonizmy materjalne, w którym nie będzie bezrobocia, nastąpi pełny rozkwit kultury: nie będzie ciężkiej troski o chleb codzienny, warunki życiowe zostaną ułożone jaknajlepiej — z chwilą kiedy da z siebie odpowiedni ekwiwalent — p r a c ę nad rozwojem i kształtowaniem się kultury, a o to przecież nam chodzi.

Nie twierdzę przez to, że pisarz współczesny, któremu leży na sercu rozwój kultury, m u s i pisać w swoich utworach*) o zagadnieniach politycznych, a treścią jego utworów muszą być przejawy niesprawiedliwości społecznej. U w a ż a m, ż e k a ż d y u t w ó r l i t e r a c k i p o w i n i e n b y ć w y n i k i e m p r z e ż y c i a, a n i e p r z e ż y c i e w y n i k i e m u t w o r u. Dlatego od pisarza, którego przeżycia są bardziej immanentne i traktujące inną, aniżeli społeczną, stronę rzeczywistości, nie można wymagać, aby nagle zmienił przedmiot transpozycji twórczej i swoje ustosunkowanie się do niego. Chodzi mi tylko o to, aby pojęcia p i s a r z i c z ł o w i e k przestały być nareszcie dualizmem, aby przestały kolidować ze sobą, a utworzyły harmonijną całość. Wystarczy więc, aby pisarz, który naprawdę ukochał wolną, rozkwitającą kulturę, zadeklarował swe stanowisko, j a k o c z ł o w i e k a wobec otaczającej nas rzeczywistości społecznej, bo przecież front literacki obrony kultury, o którym pisał Piotr Korzuch, powinien być przedewszystkiem wspólną platformą l u d z i w o l n y c h, a później dopiero p i s a r z y.

J. K. Weintraub

*) O zagadnieniach społecznych może pisać w artykułach społeczno publicystycznych.

JERZY POREMBSKI

Bracia.

Grisza Iwanowicz Szyszkin dostał dziś list. —
Brat coś mówił równemi linijkami słów,
— Brat inżynier moskiewski — (znał kilka cudzoziemskich mów)
Miał pieniądze i francuzkę żonę —
Zły był Grisza (nie mógł przeczytać zdań zgrabnie ułożonych)
— Brat pan, pisze do niego brata — dorożkarza
A on nie umie czytać...
Mógł wprawdzie komuś list pokazać,
Ale przecież do niego, jest to pismo od brata.
Złość i wstyd postanowił przepić w szynku Mieczykowa.
Wódką złe myśli zalać i w kącie się schować.

— — — — — — —

Dymitry Michajłowicz Mieczykow, znał Szyszkina
(Byli nawet w kumotry).—Zmrok układał wyblakłe godziny,
Jak flasze niedopitych a lichych napitków —
Przywitali się szczerze, (u Dymitra grała muzyka)
I czarnowłosa Sonja, o skośnych oczach śpiewała pieśń kaukazką
Tańcząc na białym obrusie, (Szyszkin znał Sonię Rukaską)
Lubił jej głos i oczy, ale Szyszkin był tylko dorożkarzem —
Usiadł więc i tylko, czystej kazał. —
Zapił, — i wódkę ze złością pomylił...
Sonja śpiewała sopranem, goście słuchali i pili...

— — — — — — —

Potem poprosił Dymitra żeby mu list przeczytał,
Brat (ten inżynier moskiewski) o coś zapewne się pyta.

— — — — — — —

Dymitr ni Grisza nie mogli zrozumieć Szyszkinowego brata — inżyniera...
Pisał coś, że braterstwo świat łączy, że za to trzeba umierać,
Że trzeba walczyć a nawet coś pisał o carze,
Bo Dymitr bacznie rozejrzał się w koło —
Zaraz też pismo oddał: — Schowajcie dobrze — przykazał...
I powiedział zmrużywszy oko: Ot mogłaby być wesołość...
Myślał Szyszkin i nie mógł zrozumieć
Skąd się bratu (pan przecież) wzięły takie słowa—
On dorożkaż naprzykład, że pisać nie umie
powód ważny – ale brat?
Szedł ulicą, a zachodził w głowę.

— — — — — — —

Dziś Grisza Iwanowicz Szyszkin sam sobie listy czyta —
(Jest szoferem w Donieckim Zagłębiu)
Kiedyś w rozmowie z bratem o ten dawny list spytał,
Brat dziwnie kiwnął głową i dłonią po stole bębnił...

K. Filipowicz.

Jan Błahut.
(fragment powieściowy).

Ryszka otworzył Błahutowi drzwi. Wstał widocznie dopiero-co od obiadu, miał pałającą twarz, wypieki, a w przedpokoju powiedział odpędzając skaczącego psa: »No my już myśleli o panu wszystko najgorsze, panie Błahut, ale źle pan trafił bo wybieramy się za jakąś godzinkę dwie, na przechadzkę, żona chce zanieść tę kapę na ołtarzyk do kapliczki«. A czy nie możnaby zostać pod nieobecność Ryszków?« Ryszka nie znajduje słów oburzenia.—»Panie, dom bez opieki, służąca ma wychodne, co pan myśli.— Nachyla się do Błahuta: czy takiej można wierzyć? Bóg jeden wie z kim przestaje, gotowa jeszcze komu sów, sznurów, trójkąciki czerwonego welwetu, w przeświadczeniu że mogą się jeszcze na coś przydać. Ryszkowa przez uchylone drzwi: »Kazałam te resztki zmieść na kupę, żeby dzieci nie porozciągały, to jeszcze będzie można spożytkować—nieprawdaż panie Błahut?« Błahutowi to skąpstwo już gardłem lezie. Najchętniej zebrałby to wszystko i cisnął ponad głową i ponad rozpostartemi o rozchylone drzwi ramionami, tam do ich sypialni. Tam stoją przez środek dwa jasne łóżka przykryte jedną kapą, nad łóżkami wisi Chrystus otoczony Apostołami, kroczący miedzą wśród wysokiego złotego zboża i niebieskich bła- na małą paczuszkę i powtarza: o, dziękuję pani, dziękuję pani, napewno będzie bardzo ucieszona.

Błahut nie zdążył napiąć dwuch sprężyn pod otomaną, a już synek Ryszków przyszedł, żeby pan Błahut już sobie kończył, bo zaraz wszyscy idą i jeszcze matka kazała powiedzieć żeby przyszedł w poniedziałek jaknajwcześniej. Schodzi krok za krokiem, zatrzymuje się na półpiętrze, skąd widać podwórze, olbrzymi kojec dla kur, a w ogrodzie zgiętego nad grządką Rudzkiego. Błahut przypatruje się teraz lepiej kojcowi i dziwi się sobie jak mógł przed kilkoma dniami myśleć o zbudowaniu czegoś takiego. Dziś ocenia: przód i tył to już cztery trzymetrowe colówki, a boki? A spód? a dach? a papa na dach? Ee, machnąć ręką. Idzie zamyślony ulicą, nawprost domu Piekacza mówi głośno; »Dzieńdobry Panie

K. Lorisch

Domy podmiejskie.

(pióro).



drogę pokazać, toby nie było ani dla pana ani dla mnie przyjemne panie Błahut...« Nienawiść do żony, dzięki której mógł mieć jakąś drobną sympatję do Błahuta rozwiała się wraz z obfitym smacznym obiadem, który mu dzisiaj przyrządziła na ukorowanie jego ciężkiej, całotygodniowej pracy. Ryszka czuje, że nic nie jest wstanie zepsuć jego sojuszu z tą kobietą, oto stoi z nią ramię w ramię na straży swego domu, swych wygód, obiadów, dobrobytu, przyszłości swoich dzieci, spokoju. Stoi przeciw każdemu, kto chce wyzyskać, a może ukraść? Przeciw Błahutowi. Przepuszcza go bokiem w półciemnym przedpokoju (gdzie nie widać nawet dobrze jego twarzy). Błahut rozgląda się po swoim warsztacie pracy, widzi jak skrzętnie pozmiatano szczątki pawatków. W kącie, nad dziecinnem zakratowanem łóżkiem lecą wdal na długim białym dywaniku ptaki. Okna są otwarte, powietrze wysusza świeżo lakierowane podłogi. Błahut spokojnie objaśnia, że zna nawet tkacza od wyrabiania chodników z takich resztek, więc niech się tylko pani Ryszkowa nie boi i to się nie zmarnuje. Znika w sypialni i po chwili wraca uśmiechnięta, pokazując kapę, którą wyhaftowała na ołtarz. Brzegiem pomyka wąski szlak drobnych, stłoczonych, niebieskich niezapominajek, a w środku duża litera M. —A żeby pan wiedział że nawet zostało jeszcze, — potrząsa skrawkiem. Schowałam z myślą o córce pana, która powinna coś z tego zrobić, słyszałam że posyłacie ją do szycia. — Błahut składa welwet raz, drugi i trzeci Piekacz«. »Powitać, powitać« odkrzykuje Piekacz nie odrywając się od przywiązywania winnej latorośli na ramę i nie zdejmując kapelusza. »No, co, już zdrowy? Unkraut verdierbt nicht, jakto mówią he, he, he,« śmieje się Piekacz. Mijają żelazne kraty aż do bramki w której siedzi najmłodszy Błahuta, Franek. Błahut przechodzi obok i widzi: cóż to za zabawa? Franek z nadętemi policzkami obrysowuje ołówkiem żyły na swoich bladych rękach. Pęk żył wybiega spod rękawa marynarki, jest tam gruby, węźlisty, w przegubie rozdziela się na pięć cienkich żyłek, które wiodą do każdego palca zosobna. »Nimosz już nic lepszego do roboty« — krzyczy wzburzony, ale głos mu się załamuje jakby go ktoś za gardło ścisnął, wyciąga z kieszeni resztkę

pluszu i rzuca mu na kolana. Garbi się, szybkim krokiem przechodzi podwórze, nieomal podbiega do drzwi za któremi jest obiad, jakaś swobodna rozmowa między zupą a ziemniakami, ostatnie miejsce gdzie się coś zbudowało trwałego z czego można być dumnym, gdzie nikt nie śmie odmówić Błahutowi znaczenia. W otwartych drzwiach stoi Edek i naciąga powoli czapkę. — A ty co robisz w chałupie? Pokiel tato leżoł nie chciołech o tem mówić, wyciepali mię jeszcze we wtorek ze szlifiernie.—Błahut rzuca twardo do żony: — Obiod — je zachłannie, smakuje mu, odsuwa tależ na całą długość ręki i pyta najzwyczajniejszym głosem: — Marta w szyciu? — w szyciu. — Potem ubiera niedzielny kabot, żona upewnia się czy idzie do Selbera o podanie do magistratu. Tak, tyle się mówiło o tem, czemu nie ma tego dziś załatwić. Franka już niema na progu. Skręca wzdłuż koszar. Za wysokiemi podłużnemi sztachetami na placu koszarowym ćwiczą żołnierze. Kaprale prowadzą swobodną naukę w małych grupkach, które schronili przed jeszcze dokuczliwym upałem w cieniach kasztanów. Reszta placu smaży się w białym pyle; tamtędy przebiegają od czasu do czasu służbowi lub podąża sierżant swoją służbową drogą do magazynu. Kaprale trzymają żołnierzy w skupionym przysiadzie i od czasu do czasu powtarzają najniespodziewaniej: Oburącz pchnij. Jedną, pchnij. — Tak. Jan Błahut dołączy niewątpliwie w swoim krótkim życiorysie (który jest wymagany w podaniu) że odbył służbę ną froncie rosyjskim i włoskim.

Na rosyjskim biegło się i padało, biegło i padało; traciło się kolegów na rozległych równinach. Wpadało się do okopów, przerzucało worki piasku na przeciwną stronę i rozkładało karabiny, aby gdy zajdzie potrzeba móc natychmiast brać na cel wysuwającą się znienacka zza kępy drzew nieprzyjacielską konnicę. Buszowano w opuszczonem legowisku za przedmiotami których używali ci inni, wypłoszeni stąd ludzie, za czemuś co można przywieźć żonie, dzieciom. Leżały kupy jakby wyprutych z worka naboi. Naboje walały się wszędzie. Tkwiły powbijane szpicami w ścianach okopu w formie małych zagród, służyły tak do zabawy. Napotykało się konserwy przed któremi oficerowie przestrzegali: Uważajcie, mogą być zatrute. Błahut rozłupał raz taką puszkę i przekonał się że zawierały taki sam wstrętny, skrzepły tłuszcz jak fasowane. — Świństwo podla naszych — mawiali o nich podoficerowie. Mieczyki z wykładaną srebrem rączką. jakie podobno każdy oficer rosyjski nosił za pasem, można było sobie przywieźć, ale za niemi znów uganiali się nasi oficerowie.

Tam na froncie rosyjskim został jeden z jego wsi, daleki sąsiad, którego przedtem nawet dobrze nie znał. Wracając przywiózł po nim rodzinie zegarek.

Na włoskim Błahut pchał własnemi rękoma koła haubic po stromych i skalistych drogach. Raz jak tak uczepieni sznurani i rękoma haubicy, podpierając koła kamieniami, już już mieli się wyłonić na grzbiet, graniczący z niebem, za którym była upragniona dolina, artylerja włoska tylko czekała na to, posłała im pocisk gdzieś z głębi gór. Błahut z rozharataną ręką stoczył się w paru sekundach na łączkę z której przez pół dnia z takim mozołem windował działo na krawędź.

— Urodził się pan w Międzyświeciu?, w tem Międzyświeciu koło nas? zaczyna Selber, a kończy — »na froncie włoskim, gdzie zostałem ciężko ranny w rękę«.

Całe życie Błahuta jest zamknięte w paru rządkach. Gdy Selber czyta wszystko jeszcze raz na koniec, Błahut podziwia, jak to jedno z drugiego wynika, począwszy od ośmiu morgów, pięciorga rodzeństwa, biedy, terminatorstwa, wojaczki, aż do rodziny, trojga dzieci, znów biedy, zahacza o to i owo i wykazuje ostatecznie, że nie kto inny tylko Jan Błahut powinien dostać pracę przy odnawianiu teatru miejskiego. Jest dwóch groźnych konkurentów, Szmid i Konieczny. Według przypuszczeń Selbera między nimi będzie się toczyć najzaciętsza walka, »ale pan może na tem wygrać« zapewnia z uśmiechem Selber »gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta, jak mówi przysłowie«. »Daj Boże« dorzuca żona. Błahut nie wie gdzie schować podanie. Przekłada je z jednej kieszeni do drugiej, wreszcie bierze do ręki w której trzyma kapelusz i tak żegna się. Selberowie patrzą serdecznie na jego zakłopotanie, a po jego odejściu mówią do siebie:

— Szmid jest przełożonym cechu, stary, ogólnie poważany rzemieślnik. Córkę wydał niedawno za Ramszę, tego co ma fabrykę wody sodowej i rozlewnię piwa, a ten znów trzyma sztamę z Fischerem właścicielem aut ciężarowych, które w sezonie żyją ekspedycją piwa i lemoniady. A Fischer jest radnym i napewno nie odmówi dobrego słowa jak zajdzie potrzeba. —

— Możebyś coś zrobił dla niego przez starostę — próbuje żona. Mąż krzywi się. — Brat Koniecznego jest w dzienniku podawczym w starostwie, a w gminie ma duże wpływy — już tam będzie ciągnął na stronę brata ile się da. Zresztą to stara rodzina, wrośnięta w tutejsze stosunki od pradziada. Cóżto niby nie wiesz?: izba rolnicza — Konieczny, spółki rolnicze — Konieczny, kasy, spółdzielnie, dostawy, to wszystko w ich rękach. Oni nie pozwolą, żeby jakiemuś tam Koniecznemu na końcu świata włos z głowy spadł. Nie zazdroszczę Szmidowi przeprawy z nimi. Co ja się tam mam pchać, kiedy wiesz, że oni dziś jutro mogą mi powiedzieć »dowidzenia panie Selber«.

Strwożeni i zadowoleni rozgarniają rękoma pachnący groszek, który pnie się w skrzynce przed oknami i wychylają się, aby spędzić tę sobotnią godzinę na swobodnej rozmowie, obgadywaniu znajomych i gawędzeniu z nimi.

Dostrzegają jeszcze Błahuta znikającego za skrętem.

Na Fundusz prasowy ofiarowali:

Prof. Maks. Rutkowski, Kraków, 5.— zł., ks. prof. dziek. J. Kaczmarczyk Kraków, 5.— zł dr. Z Wasserberg, Kraków, 5.— zł., prez. dr. J. Parylewicz, Kraków, 20.— zł., Krak. Gazownia Miejska, Kraków, 10.— zł, inż. C. Grzymała, Borek Fałęcki, 5.— zł., inż. K. Braun, Kraków, 7.50 zł., inż. J. Kulnicz, Kraków, 5.— zł., dr. H. Stopczańska, Kraków, 5.— zł. dyr. Z. Loch, Kraków, 5.— zł., prof. Szyszko-Bohusz, Kraków, 5.— zł., Hotel »Polonia«, Kraków, 5.— zł., Giesche S. A., Katowice 10.— zł., prez. inż. E. Czerlunczakiewicz, Kraków, 4.— zł, inż. K. Musiał, Siersza, 2.50., dyr. Jan Wilkosz, Kraków, 2,50, dyr. dr. J. Bachleda Katowice, 1.50., dr K. Nieć, Katowice, 1.50., dr. Z. Lewandowski, Katowice, 1.50., dr. W. Sojka, Katowice, 1.50., inż. R. Pitera, Katowice, 1.50., inż. T. Michejda, Katowice, 3.—

Ciąg dalszy w następnym numerze.

J. Katyński.

Wiosenni ludzie.

Nad pudłem z ciastkami unoszą się wielkie błękitne muchy. Ciastka topią się w słońcu. Rtęć podjechała do dwudziestu.

Ktoś właśnie mówi na rogu ulicy, że to dziwna rzecz taka spiekota w pierwsze dni wiosny.

Kamienica pod dwunastką wygląda jakby chciała także za chwilę roztopić się w skwarze. Na ganku ktoś wali kijem w dywany. Słońce zawisa w obłokach kurzu nikłą pajęczyną barw. Na dole szorują podłogę. Z izby unoszą się gęste kłęby pary.

Na progu bramy głupia Hanka z góry — patrzy na ulicę szeroko otwartemi oczami, w których odbijają się martwo obrazy i barwy.

— Zamknij drzwi — powiedział Tomasz — poco ma tutaj wonieć aż z podwórza.

Janek naturalnie nie zamknął. Stanął zato przy oknie i patrzał na rozlane po ulicy niedzielne popołudnie.

— Czy istnieje coś bardziej beznadziejnego niż to — wskazał ręką w nieokreślonym kierunku. — O tej porze zwłaszcza w niedzielę nie odważę się za nic wyjść z domu.

Tomasz milczał. Janek zrozumiał, że żuł w sobie gniew na niedomknięte drzwi, na niedzielę, na niego, na słońce..

Raziło go to, że tamtem jest — jak go nazywał — milczącym filozofem. On sam był raczej głośnym filozofem.

— Weź papierosa — powiedział.

— Dziękuję, ale wiesz; nie wolno mi palić.

— Nie szkodzi — mnie też grozi gruźlica...

Z suteryn dochodzą podniesione głosy. Pan Anufry Migdał klnie głośno ludzi i czasy. Zmienił jednak zdanie, gdy nadszedł syn. Naturalnie młody komunista.

I naturalnie uwagi, że te tłumy na ulicy, te ubrania ileto by można za to biedaków, i t. d.

— Tak wyńść na ulicę z czym cieńżkim w rence — to — ino roz!!! — zakończył burzliwie.

— A no — chodzom bo majom — łagodził filozoficznie ojciec. — Tybyś to się nie ubirol jakbyś mioł za co — tyż komunist.

— Kiedy ta Maryśka wróci — przerwała chytrze dyskusję matka. —

— Ano wróci jak będzie kcieć — ona ta miejsca w domu nie zagrzeje — nie bój się.

— Aha — zachichotał Franek — z kawalirem to sie pokłóciła, bo powiedział, że na niej to skóra poto, żeby się gnaty nie rozsypały, — słyszoł ojciec?

— Ale poleci za nim — oho — drugi taki głupi się nie znajdzie.

Na trzeciem piętrze pani Halina grała na pianinie »Traumerei« — Schuberta. Pani Halina grała kiedyś bardzo ładnie i była kiedyś bardzo piękna. Żyje skromną emeryturką i bogatemi wspomnieniami i czasem pisze pamiętnik.

Teraz akompanjuje ulicznemu gwarowi i czuje się bardzo szczęśliwa.

... — No i tak moja pani — kobita sama, dwoje dzieci, dwa dni temu karetka zabrała — baba dziś kaput — w szpitalu — a dzieci same. Chłopok — to jeszcze jeszcze — zawsze się jakoś uchowa ale dziewczyna — A zresztą cóż to do mnie — każdy własnych zmartwień... — Moszek — pędź te muchy — nie widzisz — w kremówkach siedzą... — tak proszę pani — każdy własnych zmartwień dość ma. — Grymas pomarszczonej twarzy.

... — Życie jest komedją *del arte* — mówił rozbudzony już Tomasz. — Człowiek jest sam widzem i aktorem, wie że wszystkie rekwizyty są podle fałszywe, zna kulisy każdego tricku, ale sam sobie bije brawo, choć niewidzialny reżyser śmieje się co kułak i gra, choć sufler dawno zamknął budę.

— Frazes — parsknął Janek. Spojrzał na ulicę i zegarek. — A tej blondyki jak niema tak niema.

— Panno Zuziu! panno Zuziu!! wołano z dołu. Ale Zuzia Elig płakała gorzko siedząc w rogu kanapy. Zuzia chociaż była bardzo młoda, lubiła się otaczać rojem wielbicieli. Lubiała, gdy się jej kłaniali na ulicy, i jak przychodzili pod szkołę, chociaż zwykle ubolowała gorzko: — och Boże — znów nas widziano — ach stańmy tu — to moje koleżanki — niech przejdą — itd. Pozatem Zuzia lubiła chlubić się znajomościami męskiemi...: — O ten to był ze mną w Radomiu, z tym grałam w tenisa (fantastycznie gra), a z tym to lub owo.

Ostatnio poznanym sześciu młodzieńcom znudziły się widocznie owe (jak je nazywali) tricki panny Zuli, zaczęli więc powoli



St. Gliwa Nad przepaścią (ołówek).

i niepostrzeżenie znikać z horyzontu. Nawet Jurek napisał właśnie, że przyjść nie może, a tę żarówkę, którą tam — tego — rozbili (pani chyba pamięta) odsyła. Zuzia płakała w rogu kanapy, bo oprócz cery pielęgnowała miłość własną.

...Widzisz — mówił Tomasz — nie trzeba szukać w życiu piękna. Trzeba je umieć stworzyć. A stworzyć da się zawsze. Może być obraz jakiegoś ponurego śmietnika, gdzieś kawałek muru, jakieś okno, ganek, ale to — choć w codziennem życiu nie jest miłym obrazem — może być z pewnego punktu widzenia piękne. Można robić to samo z momentami — wycinkami życia, tylko trzeba znaleźć ów punkt widzenia — i trzeba...

... Państwo M. na parterze sypią gromy na głowę córeczki. Że to smarkata gości nie poznaje i mówi, że rodzice wyszli, a ona dla dziadów nic nie ma.

Pani Halina na drugiem piętrze zaczęła grać sonaty Clementie'go.

Słońce zachodziło i rzucało w rogach pokoju krwawe ogniste plamy.

... Jaki cudny — cudny Jaś — idzie! bełkotała głupia Hanka w bramie.

— Niech pani przestanie — oburzał się gruby Witold Tułek (wyrąb mięsa skład na rogu)—ludzie patrzą.

... O — jest jest, blondynka— wychylił się Janek z okna.

... Moszek na Boga muchy — do nosa ci włażą! wrzeszczano na dole.

Po schodach na parter drżąc wchodziła Marja Migdał. Słyszała już przez drzwi gniewny bas ojca.

—Kici — kici — chodź tu — dam ci mleczka — wabiła pani Halina kota łażącego po futrynie okna.

Zuzia wkręciła żarówkę i zaczęła się ubierać, a pan Witold Tułek podszedł do mnie.

—Pan czeka??? zapytał.

—Tak — czekam.

—Czekam aż Tomasz zabije Janka i umrze potem na spleen; aż Marję Migdał spierze ojciec, pani Halina wyjdzie za mąż, a Zuzia znajdzie sześciu nowych adoratorów.

Czekam aż całą kamienicę razem z ciastkami, muchami, Hanką i jej Jasiem pochłonie pożar, a pana z nią — gruby handlarzu kiełbas.

— O, proszę pana — Tułek rozlał się w uśmiechu, — to jest niemożliwe. Pan Bóg (tu świecącym tłustym palcem wskazał chmurki na niebie) woli dać się nam troszkę pomęczyć niż zesłać radykalny środek — ale — o — pan już idzie...

Po ulicach snuły się sznury przechodniów.

Na plantach trawa lśniła zielenią. Z wilgotnych pąków kasztanów, rozwijają się ostrożnie małe zielone listki.

A. Messing.

Śmierć u Klajmanów.

Właściwie wiedziano już wszystko przedtem. Było wszędzie bardzo dużo śmierci — jeszcze przedtem — w bańce tlenowej, w pustych ampułkach, strzykawkach — w wszystkich niecodziennych przedmiotach.

Klajman żył jeszcze — miał otwarte oczy — czasem mówił — słuchał. Słuchał kroków. To były niepewne, nieśmiałe, coraz cichsze kroki. Mówił, że mu są niepotrzebne. Mówił, że chce, żeby się wszystko skończyło — że jest bardzo wdzięczny — żeby go nie męczyć. Uśmiechy wisiały na twarzach — nie miały z twarzami nic wspólnego. Niewyspana pielęgniarka ciężko westchnęła. Naokoło było dużo śmierci — nie rozumiano jej.

Zaczęło się od tego, że umarł. Nad ranem. A o dziesiątej rano w pokoju było ciemno. Okna zawieszono żółtemi kotarami. Hala z głową obwiązaną mokrym ręcznikiem płakała w kuchni. Płakała służąca u sąsiadki. Powietrze tłuste — całe z przyśpieszonych oddechów przylepiało się do ubrań, do rąk, do twarzy. Pani Klajmanowa płakała w jego pokoju. Patrzała na trupa. Było ciemno. Biały był tylko prostokąt pościeli i ciało.

Pan doktór poplamił sobie atramentem palce. Spisywał akt zgonu. Miał zmęczone, nerwowe oczy: synek zaziębił się wczoraj — gorączka — grypa — to jest smutne, że ma się dzieci — a ludzie umierają — ale to przecież stary dziad. Trzeba się spieszyć. Pisał machinalnie. Zamyślił się potem nad swoimi poplamionymi rękami. Umył je. Powiedział parę zdań. I wyszedł.

Przyszli z »Ostatniej Posługi«. I śmierć była już nietylko z nim — w tamtym pokoju. Brodaci żałobnicy roznieśli ją na całe mieszkanie. Mieszkanie stało się obce dla wszystkich. Dla zapłakanej rodziny, żałobników i dla trupa. W pokoju ustawiono palmy. Oporządzono ciało I toczyła się dalej mieszczańska spokojna — żydowska śmierć. Taka jak codzień. »Trochę bogatsza śmierć — od innych biednych« — powiedział do stróża pan rządca, łysy emeryt o pomidorowej twarzy. — Pan rządca nie rozumiał żydowskiej śmierci — zamkniętego karawanu. Pomyślał o nieboszczce żonie. Wszedł na skrzypiące schody kuchenne: dobra to była kobita—a w czerwcu jak się poznali miała ciepłe piersi—a po kochaniu gadała tak śmiesznie dużo—chyba żeby ciało zakrzyczeć—a pogrzeb jej był latem na Powązkach — był czas — a teraz zima — Klajman umarł.

U Klajmanów poszczono i płakano.

I ważny był jeszcze pogrzeb. Szło się za karawanem — przez szpaler kup brudnego śniegu. Szyny tramwajowe bronzowemi pasmami błota płynęły równolegle z ludźmi. Nogi marzły. Ludzie idący na chodnikach przystawali i odczytywali napisy na wieńcach. Powietrze szorstkim ręcznikiem tarło twarze. Dorożkaż powiedział do sklepikarza, pana Jasieńszczaka:

— patrz pan: jeszcze jeden żyd. Zimno, cholera. — Splunął.

Znajomych szło za pogrzebem coraz mniej. Jechało parę samochodów. Rozmawiali pocichu o

nieboszczyku, o wdowie: co z pieniędzmi — a czy córka ma chłopca — i że Zakopane — że Francman zbankrutował. O innych rzeczach też mówiono. Potem gubiło się coraz więcej osób. Wsiadano też do tramwajów. Zmarznięta rodzina — dreptała za karawanem. Na czarnych welonach kobiet osiadł szron. Kuzyn Izak myślał o wekslach. Powiedział do Hali, że ciężko teraz żyć. Tuż za karawanem płakano trochę, zresztą było bardzo zimno. Wszyscy bali się śmierci. Trzeba było nieboszczyka prędko zapomnieć — aby zapomnieć strach.

Na Okopowej było jeszcze dużo białego, niesprzątniętego śniegu. Odcinały się od niego czerwone tramwaje. Na cmentarzu w poczekalni goście pogrzebowi siedzieli na ławkach, wstawali, przestępowali z nogi na nogę, wiedzieli, że są tu niepotrzebni. Patrzyli się na łachmaniarzy wygrzewających się przy piecu.

Trumnę wyniesiono na mróz I znowu płakano i modlono się. I szło się cmentarzem wśród zaśnieżonych grobów. A w końcu dół — żółty, wysypany spod zmarzłej grudy piasek. Trumna zsuwała się. Grabarzom marzły ręce. Robota nie szła. Zaczęli śpiewać: chazen i czterech meszorrem. Śpiewali ponuro · krzyczącą śmierć. Psuła ich płuca i szarpała gardła. Mgła mieszała się z parą oddechów. Marzli już wszyscy. Śmierć była już wszędzie: w śpiewie — w ludziach — w trumnie. Dłużej nie można tego było znieść. W śpiew wmieszał się wrzaskliwy foxtrott. Obok na ślizgawce ochryple wrzeszczał gigantofon, przeszkadzał śmierci. Nagle Klajmanowa zaczęła krzyczeć: długo — piskliwie — strasznie. A gigantofon wciąż darł się charkliwym, skrzypiącym foxtrotem. Wracano. Do innego świeżego grobu — biegła gromada skulonych żydów. Biedna śmierć.

Za bramą było już zwyczajnie.

MUZYKA

Imre Ungar.

Pianista Ungar jest niepokojącym problemem. Nie można stwierdzić naprzykład, na podstawie samej gry, jak wielką rolę gra ślepota w walce z techniką fortepianową. Że przeszkoda taka istnieje nie zdaje się ulegać wątpliwości. O ile zauważyłem uniemożliwia ona prawie branie akordów lub oktaw wprost zgóry i temsamem zmniejsza ich szybkość, wpływa ujemnie na pewność przy braniu większych odległości. To wszystko da się usprawiedliwić ślepotą. Ale do tego dochodzi maniera.

Objawia się ona tak w pomysłach interpretacji, jak i w tem, że w kulminacyjnych miejscach delikatnej kantyleny znika »nawykowo« nuta lub cały ozdobnik. Wszystkie prawie preludja o charakterze śpiewnym padły ofiarą dziwnego wykoślawienia. Ratowała je jeszcze przerażająca szczerość. Sztuka Ungara jest bowiem bezwstydna w swojej subjektywności, bezkompromisowa i patetycznie ponura.

Ale były też chwile, kiedy zdawało się nagle, że z poza dramatycznych zmagań z treścią utworu wygląda zakłamanie, że brak już uczuciowego pokrycia.

To wszystko nie przesądza faktu, że parę preludjów dynamicznych (np. nr. 16 lub 18) jak i walc grany jako naddatek były porywające. Wspomniany już obnażony, a jednak pociągający subjektywizm wpłynął niekoniecznie dobrze na wykonanie Bacha. Preludjum es - moll miało wstrząsające momenty; ale tylko momenty, bo jako całość zawiodło.

Natomiast ładnie wypadła sonata asdur Beethovena, która dziwnie przypomina Schumanna (a raczej odwrotnie).

Tak więc obwozi Ungar swoją sztukę walcząc bohatersko z fortepianem, naginając muzyczną treść do swoich czasem świetnych pomysłów, wyżywając się dziko, brutalnie i nieraz wspaniale.

Czy ten dziwny zespół warunków i człowieka doprowadzi do krańcowej maniery — trudno przewidzieć. Może znajdzie Ungar kogoś, kto nie dopuści do rozpadu. W każdym razie stoję uczuciowo po stronie uporczywie walczącej a zawierającej pierwiastki tragicznego rozpadu psyche Ungara.

Aleksander Kipnis.

Kipnis należy do największych śpiewaków współczesnych. Na koncercie Kipnisa sala była prawie pusta. Jest to fakt zastanawiający i wymagający wyjaśnienia.

O ile wiem, to śpiew jest, powiedzmy, bardziej popularny wśród „szerokich mas“ publiczności niż muzyka instrumentalna. Najlepszym dowodem tego jest powodzenie opery. Możliwe są więc dwa wnioski: Albo publiczność krakowska nie wie, kto to jest Kipnis, albo ludzie chodzą na operę ze względów wizualno - teatralnych. Ponieważ wniosek pierwszy wydaje mi się bardziej prawdopodobny, więc j e s t m i s m u t n o...

Talent Kipnisa oscyluje pomiędzy liryczno delikatną kantyleną, a olbrzymiemi, dynamicznemi porywami. Ta rozpiętość zdumiewa Niematerjalne prawie piana wyrastają z akompanjamentu, wznoszą się do szczytów dramatyczności, opadają i nikną niedostrzegalnie w akompanjamencie.

Naturalnie tego rodzaju osiągnięcia muszą być oparte na niesłychanej technice formowania głosu (co u basa jest niezwykle trudne).

Rozpiętości dynamicznej i dużej skali tonalnej odpowiada równie wielka skala jakościowa. Inaczej śpiewa mefisto, inaczej chłop z nad Wołgi. Kipnis nie przestaje być na estradzie aktorem; ale nie tylko aktorem ruchów, ale w pierwszym rzędzie aktorem głosu.

Mimo, że wymienione zalety wywołały entuzjazm u publiczności, zdaje mi się, że nie zobaczymy (i nie usłyszymy) więcej Kipnisa w Krakowie. Entuzjazm był jakościowo wystarczający, ale ilościowo nie.

L. L.

Kronika muzyczna.

— W Dortmundzie prof. Sieben wykonał koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego.

— Pierwsze wykonanie polskich utworów muzyki współczesnej w Paryżu miało miejsce na Concerts-Poulet — Colette Frantz wykonała II. Koncert skrzypcowy JERZEGO FITELBERGA. W sali Chopina Kazimierz Kranc i Roman Maciejewski wykonali koncert na dwa fortepiany Maciejewskiego i na koncercie Societe Nationale wykonano drobne utwory fortepianowe Aleksandra Tansmana p. t. Le Tour du monde en miniature.

— Z pierwszych wykonań na koncertach paryskich szczególną uwagę zwróciły na siebie: »Panorama americain« Amfiteatrowa — utwór wykonany na koncercie Pasdeloup, w ramach koncertu pt. Jazz w muzyce symfonicznej.

TEATR.

„Pierwszy Legjon" E. Lavery'ego.

To amerykańskie »misterjum« nadaje się doskonale dla zaśniedziałych dewotek. Sprawi im ono dużą satysfakcję. Szczególnie »oryginalny« a zupełnie nieusprawiedliwiony »happy-end«, przekona je napewno o istnieniu cudu. Człowiek postępowy, nie mogący przyjąć owej wiary w cud poprostu »na wiarę«, jedynie z woli autora. dopatrzy się tylko w kilku obrazach Laveryego mocnej satyry, a miejscami pamfletu na zakon Jezuitów. Mam tu na myśli już nie lekarza, osobę świecką, który ośmieszył zakon, ale proboszcza, widzącego w zakonie konkurencję materjalną, oraz intrygi, walkę o godności i rangi wśród bractwa zakonnego.

Istotny problem »wiary i rozumu« ujęty jest dość płytko. Djalogi naiwne, całość — nudna.

Sugerowana przez autora idea przyniosła mi zgoła nieoczekiwaną afirmację.

Na końcu sztuki musiałem uwierzyć w cud. Cudem bowiem było... wysiedzieć do ostatka.

»Pierwszy Legjon«, wbrew opinji prawie całej miejscowej krytyki, grany był przeciętnie, bez głębszego przekonania. — Reżyserja uniknęła szczęśliwie dłużyzn. Forma »witania« jednak, być może tak stosowana w zakonie, raziła bardzo na scenie swą »teatralnością«.

„Dożywocie" A. Fredry.

Denerwowała mnię nieraz maniera recenzentów teatralnych i nawyczki speców, dopatrujących się w każdem dziele wpływu, powinowactwa, zależności od innych. Trzeba zrozumieć: — dawniej wolno było. Dziś inaczej. To: zbrodnia, plagjat. Dawniej było to koniecznością, imperatywem. I koniec. »Dożywocie«, brane pod mikroskop fredrologów hałasujących po gazetach, wygląda jak preparat nasycony bakterjami i zarazkami. Tak samo każdy inny utwór Fredry, Bałuckiego... Słowackiego. A jakże! Dopiero Boy nauczył nas patrzeć na prawdziwego Fredrę, podobnie jak na Mickiewicza. A nie na zarazki!

I tak patrzał na »Dożywocie« młody, nieuprzedzony bobasek, siedzący w loży z wyperfumowaną mamusią. Wył poprostu z radości w momencie gdy, na scenie, z czapki wysunął się tajemniczy liścik z napisem... »szanuj zdrowie nale- życie«. Podobało mu się. To grunt! Nauczyciel ostudził jego entuzjazm uczonym komentarzem dopiero nazajutrz na lekcji literatury. — Fredrowskie przedstawienia to dobrodziejstwo dla młodzieży. To odtrutka na jad belferski, antytoksyna zdrowa, żywa.

Szczególnie gdy gra Solski. Trudno określić perfekcję jego kreacji zwyczajnem słowem. Łatwo popaść w banał. Tej niedzisiejszej techniki nie wystarczy nazwać tylko: mistrzowską, świetną, doskonałą. To nic. Mało. Wymyka się ona spod ram szablonu i treści codziennych słów. Jedno tylko można zrobić: — zobaczyć Solskiego i z zachwytu nic nie mówić. — Pozostali artyści reprezentowali nietylko inne pokolenie aktorskie, ale także inną metodę gry, inny styl, inaczej poruszali się i mówili.

mb.

Książki nadesłane.

Maurycy Schlanger: Idę...

Dom książki Polskiej S. A. Warszawa.

Trudne jest stanowisko recenzenta omawiającego ten debiut Złośliwy znalazłby w tym tomie kopalnię do wykpienia, — dobrotliwy, lub mało wymagający, musiałby się natrudzić, chcąc coś pochwalić z tych banalnych, jak często stwierdza to sam autor, wierszach. Te z nich, które należałoby traktować poważnie np. »Juda verrecke«, »Synowie Izraela«, »Ojczyzna« i »Wyznanie moje«, gniewają! Dlaczego? Bo są zakłamane, bo ten jak siebie nazywa, hebrajski niemowa, dziś tylko po polsku piszący, wyznaje dość cynicznie. że niczego mu tu w Polsce nie wolno kochać, bo to wszystko — nie jego. Ale nie poruszajmy spraw dla obu stron bolesnych, opuśćmy to wszystko, co pod rękę się nasuwa, aby ganić (to każdy potrafi), a natomiast pochwalny, co na to zasługuje.

Znaleź, taki cały wiersz jest trudno, każdy coś psuje, natomiast są pojedyncze zdania, porównania, lub metafory wcale ładne i poetyczne, np.

.. »po polsku więdną bzy, po polsku pachnie żyto..«

[Wyznanie moje],

albo; »Lecą liście dojrzałe z drzew szeroko biedrych« (Padziernik we wsi), lub ta pierwsza zwrotka z Poezji jesiennej;

»Bo cóż ja poradzę. że astry tęsknie
na nas patrzą
a werbel deszczu monotonny wiersze
łzami znaczy.«

... Wiatr wraca z pięknego pogrzebu
(Wiersz o jesiennej żałości),

... Griegiem gra ci śnieżna cisza (Ballada o szwedzkiej dziewczynie) i jeszcze to:

»...W kałużach sennego miasta
poprawia noc maquilage swojej
twarzy«
(z Wieczornej wędrówki).

Autor zapowiada następną książkę, należałoby go jednak przestrzec przed popełnianiem takich głupstw jakie znajduje się w tomie pierwszym.

E. M. BODNICKI.

Odpowiedzi redakcji.

J. P. Kraków. Odłożyliśmy do następnego nru.
J. R. Nie.
I S Kraków. Nie.
J. I. Nie.
R. K. Lwów. Nie.
S. F. Kraków. Nie.
M. K. Kraków. Dziękujemy. Czekamy na dalsze artykuły.
A. D. Kraków. Nic nie warte. Na szczegóły nie mamy czasu.
R. B. Kraków. Dziękujemy. Pójdzie w następnym nrze.
M. F. Kraków. Nie.

Dobrze jest
gdy autorzy
używają
maszyn
do
pisania

(Z pism Stefana Kuhla).

Academica

O pokój wewnętrzny.

(Na marginesie odczytu prof. Szymanowskiego „O pokój wewnętrzny", który miał być zorganizowany przez Związek Pacyfistów w Sali Kopernika U. J. 21 kwietnia).

Wybrałem jako punkt wyjścia do tego wcale-nie-sprawozdania odczyt prof. Szymanowskiego dlatego, że niespodziewanie ujawniło się przy nim i przecięło tyle współczesnych zagadnień i w sposób tak dla każdego charakterystyczny, że to małe i właściwie małoważne zdarzenie zmusza do mówienia o wielu rzeczach wielkich i zasadniczych. To tłumaczy istnienie i charakter **„Komentarzy"**. One też są główną częścią artykułu.

Drugą częścią jest sam opis odczytu, a raczej **zdarzeń**, które odczyt uniemożliwiły. Mówię o nich w formie osobistych niejako „wspomnień" dlatego, bo spotkałem w prasie i opinjach opisy tak nieprawdopodobnie przekręcone, że nie dziwię się czytelnikowi, który nie będzie wiedział sam, komu wierzyć. Otóż wszystko to o czem mówię od siebie i na podstawie czego wysuwam wnioski, są to rzeczy, które sam widziałem.

Zdarzenia i Komentarze.

Przyszliśmy do Collegium Novum o 19,45. Zdziwiliśmy się, że jeszcze tak dużo osób, wyraźnie przybyłych na odczyt, stoi w klatce schodowej. Powiedziano nam, że »endecy blokują odczyt«[2]).

Rzeczywiście u wylotu schodów na drugie piętro stała ściśnięta grupa akademików i ludzi z poza uniwersytetu[3]). To ostatnie mnie nawet zdziwiło i pomyślałem, że widocznie teraz jest sprawa poważniejsza, niż kiedyindziej, gdy wystarczali sami akademicy. W grupie ciągle ktoś wołał »precz z żydami«[1]) i »precz z masonami«. Najbardziej krzyczał jakiś, wyglądający na robotnika osobnik w bronzowym płaszczu. Robił wrażenie pijanego.

Kiedy próbowaliśmy udać, że o niczem nie wiemy i przejść do Sali Kopernika, pierwszy szereg ścisnął się i nie chciał nas puścić. Równocześnie zaczęto znów krzyczeć: »precz z żydami« i »precz z masonami«. Staraliśmy się im wytłumaczyć, że nie jesteśmy żydami, ani masonami. Wtedy zaproponowali nam, żebyśmy stanęli z nimi razem[4]).

O pomieszaniu pojęć.

1] Wogóle obecnie coraz częściej daje się zauważyć i to nie u ludzi, którzy to robią tendencyjnie, ale i u tych, którzy to robią *w dobrej wierze* mieszanie pojęć »**komunista**« (tą nazwą obejmuje się w tym wypadku wszelkie ugrupowania lewicowe) i »**żyd**«. Na usprawiedliwienie zaś takiego mieszania wskazuje się na wielką liczbę nazwisk żydowskich np w sprawozdaniach z procesów komunistycznych. Przytem jednostki mniej inteligentne twierdzą, że żydzi są komunistami, bo chcą w ten sposób *zniszczyć religję katolicką i zapanować nad światem*, połączywszy się z żydowskimi bogaczami, jednostki stosunkowo bardziej inteligentne tem, że *stworzony przez arjów ustrój rasowo im nie odpowiada.* Otóż wielka stosunkowo ilość żydów w organizacjach lewicowych jest faktem, jego tłumaczenia są jednak śmieszne. O piewszem niema nawet co mówić, co zaś do drugiego, to przecież *panujące w Europie formy ustrojowe nie są żadnym wynalazkiem Arjów*, te same formy, w różnych fazach rozwojowych, widzimy naprzykład w Abisynji, Japonji, czy Chinach. Wytłumaczenia tak wielkiego udziału żydów w ruchach lewicowych należy szukać tam, gdzie i jeszcze większego ich udziału ilościowego np. w wolnych zawodach. Nie istnieje u nich wogóle warstwa chłopska, która grupuje 70% Polaków i są naogół zamożni, a w związku z tem *procent ludzi wykształconych jest u nich większy.* Co zaś do mylenia pojęcia »komunista« i »żyd« ze względów ilościowych, to przecież równie, a nawet bardziej uzasadnione byłoby naprzykład mylenie w Krakowie pojęcia »**Żyd**« i »**adwokat**«, lub inne podobne **nonsensy**. Bo wystarczy przeglądnąć krakowską książkę adresową, by się przekonać, że conajmniej 80% adwokatów krakowskich nosi nazwiska żydowskie, a wśród komunistów udział żydów nie przekroczy chyba 50%.

Narodowcy czytają po hebrajsku.

2] Pytaliśmy się potem narodowców, dlaczego właściwie blokowali odczyt. Powiedzieli nam, że prof. Szymanowski umieścił w jakiemś hebrajskiem piśmie artykuł, nawołujący do likwidowania akademickich demonstracyj antyopłatowych przy pomocy policji. Zwróciliśmy się po odczycie do prof. Szymanowskiego. z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy: oświadczył nam, że do *żadnego pisma hebrajskiego nie pisał*, że mogło ono tylko przedrukować któryś z jego artykułów, zamieszczonych w innych czasopismach; sprawdzić nie mógł, bo **po hebrajsku czytać nie umie**, dziwi się tylko, że **narodowcy umieją**. W żadnym z artykułów *nie mówił o sprowadzaniu policji na akademików.* Jeżeli o mnie chodzi, to odnoszę wrażenie, że prawdopodobnie prof. Szymanowski wystąpił przeciwko pogromom przy okazji strajku w Warszawie, a sprawa została później sztucznie przekręcona i wyolbrzymiona.

Kwestja elementów pozauniwersyteckich.

3] Chciałbym tu jeszcze podkreślić, że w „narodowej" blokadzie Sali Kopernika brały udział, i to liczny **elementy pozauniwersyteckie** o wyglądzie nie wzbudzającym zaufania. Co się tyczy osobnika w bronzowym płaszczu, to wtedy, gdy odczyt przenosił się do Domu Górników podeszło do niego kilku

Byłem ciekaw, co będzie dalej, więc siadłem na oknie nad schodami i czekałem. Tymczasem przyszedł jakiś pan w jasnym kapeluszu i, niezorjentowany widocznie, tak jak my, w stosunkach akademickich, zaczął się kłócić, że ma prawo iść na odczyt. Myślałem, że go zaczną bić, ale tymczasem ktoś rzucił w tego pana jajkiem. Rozbiło mu się na kapeluszu i zaczęło kapać. Wtedy ten pan przestał się kłócić[5]) i odszedł.

Tymczasem ludzie zaczęli mówić, że idą robotnicy[6]). Rzeczywiście, szli. Chwilę się zatrzymali przed blokującymi, potem weszli między nich, trochę się pokotłowało, przeszli przez nich, otwarli drzwi i powiedzieli, że kto chce, może wchodzić[7]).

Przed odczytem odśpiewali robotnicy »Czerwony Sztandar« i wygłosili kilka niezbyt pochlebnych, choć w tym wypadku usprawiedliwiowych, uwag o akademikach i ich metodach postępowania (na sali śmierdziało siarkowodorem i amonjakiem). W środku odczytu[8]) wszedł Rektor prof. Maziarski i oświadczył, że uważa zebranie za wiec i dlatego je rozwiązuje.

Wtedy odczyt przeniósł się do Domu Górników. Nie widząc powodu, dla którego nie mielibyśmy wysłuchać go do końca, postanowiliśmy też tam iść. Okazało się, że to nie takie proste, bo, jak powiedziałem, robotnicy byli przekonani, że jesteśmy narodowcami[9]). Musieliśmy się dopiero odwoływać do wspólnych znajomych, żeby nam dali spokój.

Co się tyczy samego odczytu prof. Szymanowskiego, to naogół nic nowego nie powiedział; ważne są natomiast niektóre poszczególne zdania. Nawiązując więc do zdarzeń przed odczytem, wskazał, że nawet na tak drobnym przykładzie widać, że pacyfiści bez oparcia się o klasę robotniczą są bezsilni[10]). Odnośnie do sympatyj narodowców do hitleryzmu zauważył, że Polacy są w Niemczech

socjalistów, mówiąc: »tyś **robotnik**. Chodź z nami«. On nie chciał iść i coś się usprawiedliwiał. Podkreślenie to uważam za konieczne dlatego, że *głównym argumentem przeciw organizatorom odczytu było sprowadzenie robotników na teren akademicki.*

Rasa a socjalizm.

[4] To mi przypomina jeszcze bardziej jaskrawe pytanie w tym samym rodzaju: »Przecież Pan jest **czysty rasowo**. Dlaczego Pan jest **komunistą**?« W danym wypadku pytanie to zadał Polak pochodzący z Niemiec, da się więc wytłumaczyć *kompleksem małowartościowości.* Mianowicie, jeżeli kimś pogardzano z tego powodu, że jest Polakiem, ten przybywszy do Polski i uzyskawszy możność pogardzania innymi, korzysta z niej naturalnie skwapliwe pod każdą postacią i nie może zrozumieć, że ktoś może z takiej „sposobności" nie skorzystać, jeżeli więc ktoś zachowuje się inaczej wnioskuje; „Nie pogardzasz? i, ty bracie nie bujaj, że to z powodów ideologicznych. Napewno robisz to dlatego, że, jak ja w Niemczech, nie możesz". Mamy tu więc do czynienia z wypadkiem chorobliwym. Jednakże takie zdania są częstsze, niżby się zdawało, i, co gorsza, jak wszystkie łechcące próżność, mają większy, niżby się zdawało wpływ. Otóż chcielibyśmy przypomnieć, że *Niemcy,* gdzie obecnie panuje faszyzm, *są najbardziej mieszane z narodów germańskich,* natomiast w narodach rasowo stosunkowo najczystszych, *północno-germańskich* jak Szwecja, Norwegja, Holanja, Danja, *rządzą socjaliści.* Zdaję sobie sprawę, że takich argumentów nie powinno się używać, to też powtarzam, że mówię o tem tylko dlatego, bo wchodzą tu w grę argumenty demagogiczne, grające na uczuciach niskich, ale właśnie dlatego b szkodliwe.

O godności własnej.

[5]] Inna sprawa, to jednak jest **oburzające**, aby kilku, więcej, lub mniej inteligentnych studentów przez wydanie innym mniej, lub więcej inteligentym studentom polecenia zablokowania odczytu mogło uniemożliwić jego wysłuchanie. (Nie ulega bowiem wątpliwości, że, gdyby nie przybycie robotników, na odczyt byśmy się nie dostali). A ponadto to jest **głupie**. Przecież w ten sposób zrażą do siebie wszystkich ludzi mających jakie-takie *poczucie godności własnej.*

Kto sprowadził robotników?

[6]] Powstaje kwestja, kto sprowadził robotników. Narodowcy twierdza, że zrobił to **Związek Pacyfistów**, pacyfiści, że robotnicy **sami** przyszli. Mianowicie kilku robotników, którzy się chcieli dostać na salę, mieli narodowcy nie dopuścić, a jednego nawet *zranić kastetem.* Wtedy *ci* udali się na jakiś odczyt, gdzie była większa ilość robotników i *sprowadzili ich.* Że związek pacyfistów jako taki ich nie sprowadził, to chyba nie ulega wątpliwości. Drugie tłumaczenie natomiast wygląda całkiem prawdopodobnie Osobiście jednak sądzę (może dlatego, że logika zdarzeń tego wymagała), że robotników sprowadził na własną rękę **ktoś ze Związku Pacyfistów**. Uważam to zresztą za całkiem *usprawiedliwione.* Położenie pacyfistów było bardzo trudne. *Położenie pacyfistów jest* wogóle *trudne.* Równie śmieszny jest pacyfista organizujący bojówkę, jak i pacyfista nadstawiający drugi policzek Jedynem wyjściem jest ucieczka pod opiekę władzy. Ale w sam raz w rektoracie nikogo nie było, a pedlowie (to też władza!) byli bezsilni Przybycie robotników było jedynem wyjściem z sytuacji. Bo przecież ustąpienie przed, poprostu, gwałtem i odwołanie odczytu byłoby najohydniejszem sankcjonowaniem gwałtu. Ostateczna Polska nie jest Abisynją, a narodowcy nie są Włochami i nie można pozwolić na wprowadzenie na U J. metod afrykańskich.

Jak wyglądała kontrblokada.

[7]] To jest ważne, ponieważ rozszerzane potem plotki o niedopuszczeniu narodowców na odczyt mogły mieć źródło albo w prostem i łatwem **przekręcaniu faktów** albo, ewentulnie, w tem, że narodowcy **w obawie** przed pobiciem do sali nie wchodzili. Otóż muszę zaznaczyć, że na salę mógł spokojnie wejść *każdy,* Jak się zresztą potem okazało, nas samych brano za narodowców, a mimo to *nikt nam żadnych trudności nie czynił.* Jakaś akademiczka wyrwała tylko jednemu z naszych współpracowników kartkę, na której rysował karykaturę profesora Szymanowskiego. Kartkę tę zresztą potem oddała i osobiście jestem przekonany, że miało to charakter raczej flirtu, niż pogromu.

Na sali spokój.

[8]) Chciałbym zaznaczyć, że jest absolutnie nieprawdą, jakoby publiczność **oburzała** się na prelegenta, czy coś podobnego. Nie mam nawet pojęcia, skąd się takie plotki wzięły. Słychać tylko było od czasu do czasu dolatujące gdzieś z **dołu** chóralne okrzyki »precz« i wtedy niektórzy z robotników, siedzących bliżej drzwi, *chcieli wychodzić.*

Niebezpieczeństwa ideologij zawodowych.

[9]) Prawdopodobnie dlatego, że mieliśmy czapki akademickie. To jest charakterystyczne; *wpływy narodowców* są bezwzględnie na U. J. b. *duże,* jednak robotnicy sądzą, że są jeszcze *większe, niż są.* Poprostu zgóry uważają każdego akademika za endeka. Podobnie zresztą jak »starsze pokolenie«. Naprzykład: »Co, bijecie żydów? He, he, he. Za naszych czasów... pamiętam ..« następuje opis jak to oni bili żydów.

obecnie traktowani tak jak żydzi[11]) tylko, że z różnych względów prasa polska obecnie o tem milczy. Ostre postępowanie Sowietów w stosunku do Ukraińców usprawiedliwiał tem, że wrazie oderwania się Ukrainy Rosja nie potrafiłaby wyżywić Syberji[12]).

W prasie znalazłem następujące sprawozdania z zajść: I.K.C. »Na odczyt ten »Młodzież socjalistyczna« wprowadziła osoby z poza Uniwersytetu, co dało powód do zadrażnienia. »Młodzież Narodowa«, która usiłowała dostać się na odczyt, nie została dopuszczona, a wobec niepokoju na odczycie Rektor Maziarski, zebranie rozwiązał«. Głos Narodu: »We wtorek, w godzinach wieczornych, w sali Kopernika U. J. miał wygłosić odczyt p. t. »O pokój wewnętrzny« (z zagadnień polityki mniejszościowej) prof. na wydziale weterynarji Uniw. Warsz. dr. Ż. Szymanowski. Prelegent, znany ze swych lewicowych przekonań, już poprzednio wygłosił odczyt w socjalistycznem (!) TUR. Ponieważ rozeszły się wieści, że na odczyt przybędzie młodzież narodowa, organizatorzy zebrania, Akademicki Związek Pacyfistów, sprowadzili na odczyt bojówkę, złożoną z elementów pozauniwersyteckich, w której było wielu żydów. Gdy po rozpoczęciu odczytu niektóre twierdzenia prelegenta wywołały protest większości słuchaczy, a obecny na zebraniu Rektor, prof. Maziarski polecił przerwać odczyt, wówczas bojówkarze socjalistyczni rzucili się na członków młodzieży narodowej. Oprócz tego awanturnicy uszkodzili gablotkę i usiłowali zdemolować salę Kopernika. Usiłowaniom tym przeszkodziła młodzież narodowa, która wyparła napastników z Sali i gmachu Uniwersytetu«. Orędownik: »Na dzień dzisiejszy zapowiedział »Akademicki Związek Pacyfistów,« będący ekspozyturą skrajnej lewicy na U. J. odczyt osławionego profesora U. W. Szymanowskiego, który chciał policję sprowadzić

Takie klasowe układanie się na sobie światopoglądów socjalnych jest bezwątpienia *b. stylowe*, mam jednak wrażenie, że jest równie *niebezpieczne.* Bo jeżeli narodowcy i socjaliści **mieszają się ze sobą**, dyskutują etc. to, po pierwsze zdają sobie sprawę, że reprezentują *jeden tylko sposób myślenia* i że inni myślą inaczej, po drugie, sami mimowoli ulegają wpływom przeciwników i nie są tak niezachwianie pewni swojej racji i są *zdolni do kompromisu.* W ten sposób, jeżeli jakiś światopogląd przeważa, objawia to się tak, że równolegle w zarządach np. wszystkich ugrupowań jest coraz więcej jego reprezentantów, że zaczynają przeważać ich projekty reform etc., i w ten sposób zmiana kierunku rządzenia następuje równolegle u góry i u dołu, nic nie niszczy, a tylko wzbogaca o nowe wartości: wogóle ma *charakter ewolucyjny.* Jeżeli natomiast ideologje **układają sie klasowo**, to każdy znajduje w swoich stowarzyszeniach tylko ludzi tych poglądów, co on sam: z jednej strony podniecają się w ten sposób wzajemnie, z drugiej nabierają fałszywej pewności, że *całe społeczeństwo podziela ich przekonania.* Dla przekonań innych rodzi się arbitralna *pogarda.* I jeżeli teraz jedna z grup wzmoże się tak, że objektywnie *ma* już *prawo* wpływać na przekształcenie organizacji państwowej, co przy rozwoju ewolucyjnym nastąpiłoby samo przez się, wtedy oba kierunki, uważając każdy dla siebie, że bronią swoich świętych praw i że za nimi stoją wszyscy, rzucają się na siebie i *wybucha wojna domowa.*

Maksymalizm.

[10]) (Związek Pacyfistów nie jest w założeniu organizacją lewicową) A najgorsze jest, że miał rację. I to jest ogólna **wada Słowian, maksymalizm** doprowadzający wszystko ad absurdum, zupełna niezdolność do *kompromisu*, który jest *podstawą istnienia i rozwoju państwa.* Gdy na Zachodzie wytworzył się ustrój stanowy w tym celu, by wnieść nowe wartości do rozwoju ludzkości, a potem *ustąpić miejsca* dalszemu szczeblowi, światłemu absolutyzmowi, to Polska doprowadziła ustrój stanowy *do absurdu*, i nie potrafiła się już z niego wygrzebać, absolutyzm ustąpił na Zachodzie miejsca demokracji, Rosja doprowadziła absolutyzm do *krańcowych granic*, by się potem załamać i wpaść w drugą *ostateczność*, w komunizm.

I w Polsce widzimy niestety obecnie, że ludność dzieli się znowu na 2 skrajne obozy: nacjonalistów i lewicowców (**mówię cały czas o stosunkach wśród młodzieży!**) Ludzi w środku jest coraz mniej, są coraz słabsi i wszelkimi sposobami (naprzykład przez takie blokady) zmusza się ich do oparcia o jeden z kierunków. Chciałbym być dobrze zrozumiany! Istnienie ugrupować lewicowych i prawicowych jest *konieczne.* Bez tego byłby niemożliwy *rozwoj* organizacyj państwowych. Ale *większość*, i to olbrzymia, powinna być *w centrum.* Ugrupowania przygotowują projekty reform, dyskutują nad niemi, ulepszają i ciągle *przedstawiają większości.* Jeżeli te projekty są mądre, zgodne z duchem czasu etc. centrum automatycznie *przechyla się na jedną ze stron*, reformy wprowadza i organizacja państwowa się *udoskonala.* Tak, jeżeli popatrzymy z perspektywy wieków, która pozwala ignorować drobne odchylenia, przedstawia się rozwój państwa na zachodzie Europy. (U Słowian są te sprawy, jak już wspomniałem, z powodu pewnych cech charakteru, trudniejsze do zorganizowania, ale też dlatego tembardziej trzeba się o to starać).

System stopniowej pogardy.

[11]) Narodowcy angielscy pogardzają wszystkimi z wyjątkiem siebie samych, niemieccy wszystkiemi narodami niegermańskiemi, polscy wszystkimi niearyjczykami. Żydowscy powinni konsekwentnie pogardzać wszystkimi kolorowymi. Niezależni są tylko Chińczycy, którymi wszyscy pogardzają i którzy wzajemnie pogardzają wszystkimi.

O wybielaniu Sowietów.

[12]) Ten argument mi się nie podobał. Ostatecznie każde państwo potrafi z równą słusznością usprawiedliwić gnębienie mniejszości *względami państwowemi.* I wogóle nie rozumiem tego gwałtownego o wybielania Sowietów przez socjalistów. Ostatecznie zasadniczą, największą i właściwie rodzącą wszystkie inne zaletą wprowadzenia w Rosji komunizmu jest to, że *nadał on sens* i właściwą treść *czynnościom i instytucjom* starym, które tę treść straciły. Nadał wogóle sens pracy. (Zastrzegam, że mowa tu cały czas o Sowietach, jako **organizacji państwowej**) O reformach socjalnych w tym wypadku nie mówię. (Nauczyciel np., sędzia etc. który w Europie musi być jeszcze b. młody, by wierzyć, że pracuje dla idei, w Sowietach może takie przekonanie zachować przez całe życie. Robotnik, który w Europie pracuje wyłącznie dla pieniędzy pracuje w Sowietach nietylko dla stworzenia warunków utrzymania, ale i dla idei. Ta sama różnica występuje w stosunku do służby wojskowej (mam na myśli *poborowych*). Pozatem jednak Sowiety, są *państwem* i w wielu wypadkach naśladują, wcale nie najlepszy, przykład państw europejskich. Ciągłe usprawiedliwianie Sowietów przez socjalistów powoduje, że czyni się ich *współodpowiedzialnymi* nietylko *za przestępstwa*, które Sowiety, jako państwo popełniają w stosunku do człowieka, ale także *zwala się* na socjalistów wszelkie braki, które w Sowietach występują wskutek *braków charakteru* i wskutek *młodości kulturalnej* narodu. Traktuje się **marxizm** jako **produkt rosyjskiego ducha** etc., zapominając, że jest on tworem **zachodnio-europejskim**, że zwycięstwo jego, i to w formie tak krańcowej w Rosji jest spowodowane *przyczynami niezależnemi* od normalnego rozwoju organizacyj społecznych, przewidzianych przez *dziejowy materjalizm* (Rosja w swoim rozwoju przeskoczyła z ustroju feudalnego odrazu w komunizm, tymczasem Marx stwierdził, że między temi okresami konieczny jest *okres kapita-*

na uniwersytety polskie. Na Uniwersytecie zebrała się grupa młodzieży narodowej, która zawiesiła na drzwiach transparent, wzywający do bojkotu odczytu i zablokowała salę. Równocześnie wznoszono okrzyki przeciw Żydom i komunizmowi, oraz na cześć Obozu Narodowego. Po pewnym czasie wtargnęła na uczelnię bojówka pijanych mętów komunistycznych, wywołując starcie, które zakończyło się zniszczeniem kilku sprzętów uniwersyteckich i poturbowaniem kilkunastu Żydów i komunistów. Rozlano butelki z kwasem i rzucono kilkanaście jaj. Rektor U. J. prof. Maziarski wkroczył na Uniwersztet i zebranie rozwiązał « 13).

Na drugi dzień na Uniwersytecie byłem tylko chwilę, ale dowiedziałem się, że przyszła grupa medyków, która podczas trzeciego wykładu ciągnęła jakiegoś żyda twarzą po schodach, a on bardzo krzyczał. 14)

Chciałbym na końcu zaznaczyć (nie, żebym uważał to za ważne, skoro oświadczyłem, że będę pisał tylko prawdę, ale dlatego, aby ktoś sobie ewentualnej dyskusji nie ułatwiał), że nie jestem socjalistą, nie należę do Związku Pacyfistów i na tym Związku ze względów osobistych mi nie zależy. Nie jestem także żydem, ani masonem.

listyczny, który przez *industrjalizację* i *wykształcenie* szerokich mas a przedewszystkiem wytworzenie uświadomionej warstwy robotniczej przygotuje grunt pod socjalizm; stąd konieczność ponoszenia przez ludność w Sowietach kolosalnych ofiar dla uprzemysłowienia kraju, które powodują tyle nieporozumień i stąd ciągłe przeszkody ze strony niedokształconej ludności. Tymczasem w państwach **zachodnio-europejskich** socjalizm realizuje się prawidłowo, **w drodze ewolucyjnej**. *Niesłuszne* są więc wszelkie zarzuty, że socjaliści chcą *zbolszewizować Polskę*, sprowadzać komisarzy sowieckich, bo niema powodu byśmy socjalizm mieli stosować na wzór rosyjski, a nie zachodnio-europejski. Nie jestem socjalistą, więc nie wiem napewno, ale przypuszczam, że chyba socjaliści też się zgadzają, że najpierw w Polsce powinien ustrój kapitalityczny zrobić to, co do niego należy, bo narazie mamy *zbyt dużo analfabetów* i jesteśmy krajem zbyt *mało uprzemysłowionym*, by wprowadzać socjalizm. Nie ulega wątpliwości, że obecnie, prawie *przymusowe dzielenie* młodego społeczeństwa na *narodowców* i *socjalistów*, zwłaszcza przy maksymalistycznych brakach charakteru słowiańskiego zwiększa niebezpieczeństwo realizowania się u nas programu socjalistycznego w taki sposób, jak to widzieliśmy *w Sowietach* i właśnie dlatego wszelkie takie rzeczy, jak blokowanie odczytów urządzanych przez związki bezpartyjne są podwójnie szkodliwe.

O dobrą prasę.

13) Spotykałem u wielu socjalistycznych pisarzy, zwłaszcza amerykańskich (Sinclair, London) opisy jak to **prasa wysługuje sie kapitalizmowi**. Przyznam się, że odnosiłem się do nich dość s c e p t y c z n i e. Teraz jednak doprawdy sam już *nie wiem co sądzić*. Zwłaszcza idzie mi o recenzję w I. K. C. Nie była ona nigdzie sprostowana, I. K. C. jest pismem bezpartyjnem, niema więc powodu, by się do niego zgóry nieufnie nastawiać, jak się nastawia np. do Głosu Narodu, czy Orędownika. Jest ponadto pismem nadzwyczaj popularnem. Na odczycie było mniej niż 200 osób. Z tego olbrzymia większość, to socjaliści, narodowcy, członkowie Związku Pacyfistów, lub żydzi, a więc ludzie, których opowiadania w tym wypadku przyjmuje się też sceptycznie. Ostatecznie więc ogół może polegać tylko na informacjach takiej prasy, jak I. K. C.

I teraz 99 9% osób będzie przekonane, że *socjaliści prowokują narodowców*, że niedopuszczają akademików na odczyty urządzane na ich własnym terenie, że tak dalej być nie może, że to destruktywna robota Moskwy i że tych socjalistów trzeba zlikwidować. Przecież takie recenzje, to jest **olbrzymia niesprawiedliwość**! A pozatem: czy my i o innych kwestjach jesteśmy *taksamo poinformowani*? A jeżeli tak to co robić; przecież pisma socjalistyczne też napewno w swoim kierunku skręcają prawdę. Czy nie czytać pism wogóle? Ale przecież wtedy tembardziej nie będzie się nic wiedziało!

Sprawozdanie Głosu Narodu jest dla mnie *całkiem niezrozumiałe*. Przecież tam są opowiadane jakieś zdarzenia, które wogóle nic wspólnego ze zdarzeniami na U. J. nie mają! Takie sprawozdania powinny być chyba *sądownie ścigane*. Przecież to jest straszne pomyśleć, że w Polsce jest zpewnością *wielu ludzi*, którzy czytają *tylko Głos Narodu* i których wiadomości o zaszłych w Polsce zdarzeniach opierają się tylko na **takich** informacjach! Jeszcze najlepiej w tem zestawieniu wychodzi Orędownik. Jego sprawozdanie jest tendencyjne, ale chociaż, z wyjątkiem może tych pijanych mętów, nie podaje nieprawdziwych wydarzeń (Między robotnikami podobno rzeczywiście były ofiary). *jurk.*



J. Cybis — Don Kichot

Młodzi poeci na estardzie.

(R) Dn. 25 4. br. zorganizowała młoda grupa literacka »Starty« wieczór autorski pt »Poeci mówią o wiośnie«. Odczytano utwory Witwickiej, Hołuja, Porembskiego, Sokołowskiego, Walacińskiego, Katyńskiego, Kałamackiego, Laua, Jabłońskiej, Zawadzkiego. Ogólne wrażenie dodatnie Część muzyczna słaba.

(AM) Dnia 29 kwietnia odbył się w Warszawie wieczór poetycki klubu artystycznego »S«. Recytowane były wiersze Jana Kotta, Ryszarda Matuszewskiego, Włodzimierza Pietrzaka, Adolfa Sowińskiego, Józefa Stachowskiego, Jerzego Kamila Weintrauba i Tadeusza Zelenaya. Należy stwierdzić, że najmłodsze pokolenie poetyckie kontynuuje po większej części i rozwija założenia awangardy. Nawet w klasycznej strofie Adolfa Sowińskiego wyczuwa się wyraźnie wpływy awangardowe, jeżeli chodzi o subjektywizację metafory. Młodzi poeci idą po linji rzetelnej pracy, unikając łatwizn i schematycznych chwytów.

Recytatorowie mimo miłej aparycji niezawsze stali na wysokości zadania. Przydałby się bardziej istotny kontakt interpretatorów z autorami. Wieczór odbył się w lokalu kawiarni SIM. Recytowali pp. Marja Wiercińska, Irena Malkiewicz-Domańska, Janina Wilcz i Andrzej Pluciński.

(R) Zrzeszenie się poetów ma znaczenie przedewszystkiem, a często wyłącznie, konjunkturalne. Zrzeszonym poetom łatwiej jest występować, jeżeli chodzi o jakieś wieczory recytacyjne, jak to miało miejsce 24 kwietnia w Sali Kopernika U. J. Po raz pierwszy wystąpiły »Wolty« mające za zobą pewną tradycję. Są one wynikiem odmłodzenia i przeobrażenia dawnego »Lit-artu i zrzeszają studentów U. J.

W ramach wspomnianego wyżej wieczoru autorskiego odczytano fragmenty prozy K. Filipowicza, J. Sawczaka i W. Bodnickiego. Poezję reprezentowali: J. A. Frasik, T. Kowalczyk, K. Barnaś, S. Potoczek i J. Sroga.

Rewelacyj nie było.

Tak nie można, Mości Panowie!

Dyrekcja Muzeum Przemysłu Artystycznego w Krakowie ogłosiła konkurs na projekty charakterystycznych pamiątek krakowskich. Celem konkursu było podniesienie artystycznego poziomu wyrobów w tym dziale, wytworzenie nowych wartości, oraz wprowadzenie ich w możliwie najszerszym zakresie na rynek.

Idea naprawdę bardzo piękna i godna jaknajwiększego poparcia tem bardziej, że w ostatnich czasach najrozmaitsi knociarze i spekulanci zasypali Kraków tak straszną tandetą, iż człowiek o zdrowem poczuciu estetycznem z odrazą odsuwa się od witryn i straganów kupczących temi świństwami.

Jako przykład tego nie — artystycznego wymysłu daję znane każdemu słynne lipowe, czarno politurowane kasety z płasko-rzeźbioną głową górala (góral, — pamiątka z Krakowa?!!!) albo (o grozo!) — haniebnie zeszpeconą podobizną Wielkiego Marszałka Piłsudskiego, w aureoli szarotek i parzenic góralskich!!!. Lipa, takie piękne drzewo, a jakże marnie kończy.

Charakterystyczne, że Zarząd Miasta, czy biuro Propagandy Miasta Krakowa, które tak skrupulatnie koryguje, a często nawet odrzuca projekty na szyldy, wywieszki, nagrobki i t. p. wykonywane przez artystów fachowców, a podawane tej niewątpliwie pożytecznej instytucji do zatwierdzenia, nie zdecyduje się na jakiś krok zabraniający stanowczo rozpowszechniania wyczynów artystycznych tego rodzaju.

Zaznaczyć przytem należy, że największe zbiorowisko takich »plamiątek« krakowskich znajduje się właśnie na Wawelu. Kto nie wierzy, niech idzie i zobaczy (sklepu demolować nie wolno — szyb wybijać nie wypada).

No, ale wróćmy do konkursu, który jest przecież najlepszym dowodem, że czynniki kompetentne doskonale zdają sobie sprawę z tego co jest.

Ogłasza się więc konkurs, który podzielono na 7 działów, a dla każdego działu wyznaczono po 3 nagrody w wysokości: I.—80 zł., II.—60 zł., III.—40 zł. Pozatem przewidziano zakupy ciekawszych projektów.

Konkurs został bardzo silnie obesłany i stał na wysokim poziomie artystycznym, jak zresztą stwierdzili na łamach różnych pism sami panowie inicjatorzy i »juryści« konkursu.

Zapomnieli tylko ci bezwątpienia szlachetni panowie napisać, dlaczego to, zamiast 21 nagród przyznali tylko 11, a zatem dlaczego, zamiast wypłacić tytułem nagród 1 260 zł. wypłacili tylko zł. 660?!!!.

Pokrzywdzeni uczestnicy konkursu żądają wyjaśnienia, na jakiej podstawie zredukowano 10 nagród i naco zużyto przeznaczoną na nie kwotę? Bo jakkolwiek nie posądza się nikogo o jakieś brudne prywatne interesy, to jednak ze strony instytucji ogłaszającej konkurs na pewnych warunkach, a następnie nie wywiązującej się z nich wobec uczestników konkursu bez podania powodów, jest wyzyskiem w najpodlejszym tego słowa znaczeniu. A domysły na ten temat, choć nieuzasadnione, ale nie pochlebne, krążą i krążyć będą aż do wyjaśnienia tej nienajjaśniejszej sprawy

I kogoście to Panowie oszukali? Oszukaliście przedewszystkiem, oprócz przeważnie niezamożnych artystów-rzemieślników, czy adeptów sztuki, — sami siebie! A jeśli nie wierzycie, to spróbujcie ogłosić teraz jakiś konkurs, a zobaczycie, jaki będzie rezultat, — zobaczycie jaką nauczkę i przestrogę daliście artystom w stosunku do tak dotąd poważanej instytucji, jaką jest Muzeum Przemysłu Artystycznego i do każdego z członków jury z osobna.



W. Czerwosz. Twardowski na księżycu.

Zapewne nasuwa się każdemu pytanie, któż to należał do tego sławetnego sądu konkursowego. I nie należał tam byle kto, bo reprezentanci 1) Zarządu Miasta, 2) Biura Propagandy Miasta Krakowa, 3) Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego, 4) Państw. Żeńskiej Szk. Przem., 5) Polskiego Zw. Turyst., 6) Muzeum Narodowego, 7) Muzeum Etnograficznego, 8) Muzeum Przemysłu Artystycznego. Jak więc widzimy prawie sami fachowcy i ludzie, którym, zdawałoby się, można w zupełności i bez zastrzeżeń zaufać. Nie wątpię, że byli tam i tacy, ale ci byli widać słabsi i nie zdołali przeprowadzić tego, co przeprowadzić należało.

A czem się tam kierowano w wynagradzaniu prac, to już naprawdę zakrawa na fantazję jakiegoś Vernego. A oto kwiatuszek z tego ogródka. —

Kompozycja, wykonana plastycznie z papieru, podoba się wszystkim panom ze »sądu«, to też postanawiają ją nagrodzić. Tymczasem okazuje się, że pracę tą skomponował i wykonał grafik. I wtedy ci sami panowie, którzy przed chwilą postanowili tą pracę nagrodzić, z tragicznym okrzykiem »jak można, ażeby grafik projektował formy architektoniczne!« przekreślają własną, przed chwilą powziętą decyzję.

Nie panowie! Tak nie można. Nie o to chodzi, kto pracę wykonał, tylko, czy praca odpowiada warunkom konkursu i czy jest na poziomie artystycznym. Trudno jednak wymagać od tych panów podobnego stanowiska w osądzaniu prac, jeśli oni sami stwierdzili, że prace są »zaartystyczne«!!

Tak! Dla Was Panowie, to zaartystyczne, bo wyście wychowani i wyżyci w niewoli innych założeń artystycznych i boicie się śmielszych pomysłów, Młodych.

Naprawdę Panowie, nie mam zamiaru uchybiać Waszej czci i powadze. Jesteście od nas dużo mądrzejsi i bardziej doświadczeni a przedewszystkiem dużo, o jak bardzo dużo starsi. Jesteście już nawet całkiem starzy, — starcy intelektualni.

Poproście więc o emeryturkę, a zrobicie wielką przysługę rzemiosłu artystycznemu, Krakowowi i nam — Młodym. A uczyńcie to jaknajwcześniej, bo »Dni Krakowa« się zbliżają i wiemy co z tego wspaniałego święta zrobicie. Przyniesiecie Krakowowi stratę naprawdę niepowetowaną.

My Młodzi zaś w zamian za to postaramy sie aby wszystkie Wasze szlachetne podobizny z bukietami szarotek przepasanych wstążeczkami krakowskiemi i w koronach parzenic góralskich, znalazły się wyrzeźbione na tych czarnych kasetach w miejsce podobizny Marszałka, której my nie pozwolimy tak oszpecać i nadużywać.

Na wypadek gdybyście jednak mojej, szczerej i serdecznej rady nie chcieli posłuchać i trwać będziecie na swych posterunkach, do czasu aż my osobiście wręczymy wam laurowe gałązki wraz z dekretami emerytalnemi, postarajcie się w międzyczasie wpłynąć na czynniki kompetentne, aby wreszcie zabroniły rozpowszechniania tych wszystkich okropności z pseudopodobiznami Marszałka.

Na marginesie Dni Krakowa natomiast polecamy pamięci Szanownych Panów, że do opracowania dekoracyjnego takich imprez w całej Europie, a nawet w Abisynji, powołuje się zawsze artystów dekoracyjnych, a nie sztalugowców, czy karykaturzystów.

S. G.

Prenumerata miejscowa 2·50 zł., zamiejscowa 3·50 zł.
Redaktor odpowiedzialny Pustelnik Władysław. Wydawca Jurkiewicz Jerzy. Redaguje młodzież akademicka.
Adres: Karmelicka 33 I. p. Tel. 148-17. Konto P.K.O. Nr 415-385.

Dalsze pozycje repertuaru

kina „ŚWIT"

Program bieżacy:

JEDNA Z TYSIĄCA

role gł. **Marta Eggerth, Hermane Thimig, Ernest Verebes, Fritz Kampers.**

BELLADONNA

w roli głównej: KONRAD VEIDT

Niezapomnij o mnie...

Najsławniejszy tenor świata, **Benjamino Gigli** oraz **Magda Schneider.**

W teatrze „BAGATELA"

przebojowa 3-aktowa komedja muzyczna

„Jaśnie Pani śni..!"

włg. WŁ. TODORA—adaptacja WŁ. KRZEMIŃSKIEGO. Muzyka FRANK i GERT.

W Sali Kopernika U. J. odbędzie się

Wieczór literacki „Naszego Wyrazu"

Data i program wieczoru zostaną podane na specjalnych afiszach.

„APOLLO"

Dzisiejsze Czasy

z Charlie Chaplinem

Mleczna Droga

W głów. roli **Harol Lloyd**

„SZTUKA"

ANNAPOLIS W gł. roli SIR GUY STANDING RYSZARD CROMVELL oraz TOM BROWN

KAPRYS PIĘKNEJ PANI NINO MARTINI

METROPOLITAN LAWRENCE TIBBET VIRGINIA BRUCE

SAMOCHÓD 99 W roli głów. FRED MAC MURRAY, SIR GUY STANDING.

Kino „UCIECHA"

Panienka z Poste — Restante

najweselsza komedja muzyczna z asami ekranu polskiego **Alma Kar, Żabczyński, Walter, Sielański, Znicz, Ćwiklińska i inni.**

Niewidzialny Człowiek

film z cyklu niesamowitych. W rolach głównych **Borys Karloff, Bella Luigesi.**

MAŁY MARYNARZ film polski z udziałem: BOGDY, BRODNIEWICZA, GROSSÓWNEJ, CONTIEGO i innych.

Kino „PROMIEŃ" T. S. L.

TURANDOT

w roli głównej KATE de NAGY, WILLY FRITSCH Paweł KEMP

Czarne Róże

w roli głównej LILJAN HARVEY, WILLI FRITSCH.

Kino „ADRIA"

Potępieniec V. Mc. Laglen.

EWA wesoły film austr., wspaniała obsada: **Magda Schneider, Hans Richman, H. Söhnker.**

Niebezpieczny kochanek

Kay Francis.

W cieniu gilotyny!

Kino „ATLANTIC"

Kochaj tylko mnie

ZACHAREWICZ, WYSOCKA, ZNICZ

Szanghaj LORETTA JOUNG, JOHN BOLES

Gabinet figur woskowych

Indyjscy piechurzy

Flip i Flap

Drukarnia „Renoma", Kraków, Lenartowicza 5